Nr. 30. Warszawa, dnia 12 (24) Lipca 1872 roku. ROK VIII.

Cena prenumeraty:

W Warszawie:
rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie „ 75
miesięcznie — „ 25

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

OPIEKUN DOMOWY.

PISMO TYGODNIOWE

sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęcone.

Seryja trzecia.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni G. Centnerszwera ul. Marszałkowska Nr. 73; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Nowy Swiat Nr. 30 (nowy).

TREŚĆ.—Letnie zabawy.—Turnieje, wiersz Julijana Mohorta.—Pamiętniki pana Symforyjona, podał Walery Przyborowski. (Ciąg dalszy).—Namiętności, przez J. M.—Zapiski z podróży po Europie J. Gordona. (Ciąg dalszy).—O wyborze pokarmów, przez Stanisława Łukowskiego. (c. d.) — Korespondencyja z Moskwy.—Listy z Krakowa—Odpowiedzi od Redakcyi.—Ogłoszenie.—**W odcinku:** Ślady życia. XVII. — **W dodatku:** Dziesięcioletnia podróż po Wschodzie, przez Ignacego Pietraszewskiego. (Ciąg dalszy), oraz: Miasto pływające powieść Juljusza Verne'a.

LETNIE ZABAWY.

Zabłysł pogodny dzionek niedzielny. Mieszczaństwo nasze nad wieczorem wyświeżone śpieszy w gwarnych gromadkach używać wesołej rozrywki. Zalega tedy najprzód tłumem Szwajcarską dolinę gdzie p. Bilze raczy ją Wagner'em, Meyerbeer'em, Gounod'em Rossinim, Verdim, Beethovenem, słowem całym szeregiem utworów *niemieckich, francuskich* i *włoskich* mistrzów, między którem jakby przypadkiem, błąka się tylko od czasu do czasu maleńki urywek Moniuszki lub Żeleńskiego. Inna część znowu świętującego ludku tłoczy się do letniego teatru, gdzie gorliwa o pożytek moralny niedzielnej publiczności reżysserya, każe się jej zachwycać figlami sprytnych *francuskich* rzezimieszków Roberta Bertrama udramatyzowanemi przez *niemca* humorystę, tłustemi i plugawymi konceptami *fars francuskich* w rodzaju „Gavaut'a Minard'a i Współki albo Trzech kapeluszy" albo też nareszcie denerwującą muzyką *francuskiego niemca* Offenbacha, opieprzoną zamaszystym kankanem *paryskim*. Nareszcie inne najliczniejsze tłumy zalegające letnie teatrzyki podziwiają pląsy djabelskie i ognie brylantowe *niemieckiego* czarodziejskiego dramatu „Młyn Djabelski", studyjują kapserlady niemieckiej czarodziejskiej farsy „Gałganduch" albotéż krwawo—ponure okropności francuskiej melodramy „*Ralf rozbójnik*".

Jednym słowem poczciwi Warszawianie na wszystkie strony połykają francuczczyznę, niemczyznę i włoszczyznę, któremi nawet karmią ich przeważnie... grajkowie kawiarniani i kataryniarze uliczni. Rzeczywiście żywioł swojski w tej gałęzi naszego życia zaniedbany niezmiernie, a jednak może tutaj właśnie należy najbardziej go ujawniać i najtroskliwiej pielęgnować.

Zabawa publiczna, ta wesoła swawolnica w pstrej arlekińskiej sukience, może jednak pod tą pustacką szatą, nieznacznie przemycać towar zdrowego wykształcenia dla ogółu, może bardzo skutecznie rozdmuchiwać ogień uczuć najszlachetniejszych. Dla czegóż tedy ci wszyscy, którzyby mogli poruszyć najdoraźniejszemi, najbardziej wpływowemi środkami — dźwięki serdeczne w głębi ducha ogółu, z niewytłomaczonem niedbalstwem lekceważą doniosłość własnego wpływu, lekceważą święte obowiązki, ciążące na każdej jednostce społeczeństwa, która w swojem zakresie ma możność rozumnego służenia sprawom ogółu. A jednak przy obecnych warunkach, zaniedbanie tych obowiązków przez lenistwo lub występną obojętność jest trochę więcej jak zwyczajnym błędem potocznego życia. Chociażby możność ich spełnienia zamykała się w najszczuplejszych granicach, choćby ilość pracy koniecznej do ich urzeczywistnienia była drobną i nic nieznaczącą, nie godzi się pomijać ich i zbywać nieczynnością lub lekceważeniem.

W zakresie jednak, o którym mówimy obecnie, możność podobnej inicyjatywy nie jest tak ograniczoną jakby się zdawało. Szczególniej szerokie pole mają tu *letnie teatrzyki ogródkowe* które już obecnie są wcale ważnym czynnikiem publicznego życia naszego. Liczą one zaledwie kilka lat istnienia a jednak coraz bardziej stają się ulubionemi miejscami rozrywki dla niższych warstw naszej publiczności miejskiej. Pierwszym ich ważnym wpływem, jest zwiększenie ilości osób uczęszczających na widowiska sceniczne wśród klas mniej zamożnych. Dawniej z tego działu ludności zaledwie kilkaset osób mogło używać szlachetnej rozrywki w dniach świątecznych na nienumerowanych miejscach obu teatrów naszych. Wiele bardzo osób, posiadających szczupłe fundusze, niechcąc się tłoczyć i prażyć na gorącym paradyzie, nie mając ochoty odbywać po schodach kilkopiętrowej wędrówki, omijało przez lat wiele progi naszych teatrów. Obecnie w tych samych dniach, co wieczór kilka tysięcy osób za *tańsze* chociaż jeszcze *nie tanie* pieniądze używa na świeżym powietrzu ponętnej rozrywki. Już teraz więc nasza robocza klasa wydaje co tydzień mniej o parę tysięcy złotych na szynki i knajpy, już teraz wielu pracowników naszych, powracając w zagrody rodzinne, przynoszą wrażenia swobodnej nieszkodliwej zabawy zamiast pijanego odurzenia i gwaru rozpustnej hulanki. Sztuka sceniczna, podając im życie ludzkie w estetycznej osłonie, samą treścią swoją pobudza żywsze umysły do zastanawiania się nad jego zawiłościami, rozmyślania nad jego potrzebami i prawami, czego pewno nie sprawią brudne ściany zakopconej dymem piwiarni. Potrzeba jednak, by zamiast rozważania efektów, ogni bengalskich i straszliwości sądu ostatecznego

ŚLADY ŻYCIA.

XVII.

Tyle życia, ile.... w czynie.

W lipcowym zeszycie *Biblijoteki Warszawskiéj* znajdujemy rozprawką p. *Kazimierza Römera*, autora broszury niemieckiej p. n. Beiträge zur Beantwortung der Frage nach der Nationalität des *Nicolaus Copernicus* (Wrocław 1872). Rozprawka ta rozbiera „*Podanie o Kraku i Wandzie*" na podstawie zestawień kronikarskich i wywodów etymologicznych. Rzecz to pisana naukowo i zajmująca zarazem; a przymiot taki każe nam bliżéj dać poznać czytelnikom naszym poszukiwania i wnioski p. *Römera*. Co do Kraka czyli Krakusa, nic stanowczego nie mógł autor powiedzieć; skonstatował więc tylko wielkie podobieństwo, pomiędzy wszystkiemi główniejszemi o nim podaniami, dalej obfitość nazw miejscowości, pochodzących od tego źródłosłowu tak w krainie podkarpackiej, jak i w innych np. u Kroatów, Czechów, i Pomorzan; źródłosłów sam zestawia z wyrazami *krakać, kruk*, greckim *kracho* i t. p. Poprawiając brzmienie nazwy *Wawel* na *Wąwel*, przypominając *Wąwelno, Wąwolnicę* i zbliżając do tych imion wyraz *bąbel*; wreszcie biorąc pod uwagę mogiłę Krakusa, o której najdawniejszą wzmiankę napotykamy u Jana Dąbrówki około 1440 r. domyśla się, że święto ludowe „Rękawki" obchodzone w drugi dzień Wielkiej Nocy, musi być w związku z podaniem o Kraku. Są to jednak szczegółowe domysły, nie związane w jedną hipotezę, któraby na całość jasne światło rzucała i owe szczegóły w zupełności tłomaczyła. Naszym zdaniem podanie o Krakusie, potrzebaby porównać ze wszystkiemi jemu podobnemi, w których bohater występuje jako wytępiciel zwierząt szkodliwych, np. z Herkulesem, Tezeuszem, Sygurdem i t. d. sięgając do Hindusów i rozjaśniając badania poglądem na tradycyje ludów nam spółczesnych. Nie nasza rzecz krytykować wywody p. Römera, zrobimy więc tylko uwagę, że zestawienie *Rękawki* z „Dziadami" na Litwie obchodzonemi, jest co najmniej niewłaściwe, gdyż znaczny przeciąg czasu dwie te uroczystości ludowe przedziela; pierwsza bowiem obchodzi się około Wielkiej nocy, a druga około Wszystkich Swiętych. W podaniu o *Wandzie*, wykazuje autor kronikarską ustawę do tekstu Kadłubka, dalej śmierć jéj dobrowolną w nurtach Wisły, wymyśloną dopiero przez Boguchwała; podnosi nakoniec tę okoliczność, że Wisła podług podania kronikarzy miała się nazywać *Wandalus* a cały naród Wandalami. Jest to błąd bardzo rozpowszechniony w średnich wiekach, że Polaków identyfikowano z Wandalami, co poszło może głównie z tej przyczyny, iż Niemcy wszystkich Słowian Zachodnich zwali *Wendami*, podobieństwo brzmienia i nieznajomość jeografii, złożyły się na utworzenie fałszywego mniemania. Pomimo to faktem jest stwierdzonym świadectwami najróżnorodniejszemi i wypływającemi nie z jednego źródła, że Wisłę nazywano Wandalem. P. *Römer* robi uwagę, że nazwy rzek u wszystkich prawie narodów oznaczają *wodę* i przytacza na to przykłady; wyraz więc *Wanda*, porównywa z litewskim *Wandû*, łacińskim *unda*, co wszystko wodę oznacza. Dalej przypomina święto zwane *Kupało* (nasze Sobótki) obchodzone w wilíję ś. Jana i okoliczność, że w kalendarzu imion słowiańskich, Wandę znajdujemy

„Tułacza" albo zbrodni szulera Ralfa—mogli oni częściej oglądać rzeczy bliżej ich obchodzące, sprawy własnego życia albo życia istot związanych z nimi najbliższemi sploty pokrewieństwa społecznego. Potrzeba, by zamiast nadto swywolnych kupletów wodewilowych francuskich, usłyszeli dziarską lub rzewną nutę rodzinnej piosenki, aby obok bluzy paryskiego rzemieślnika ujrzeli bluzę rzemieślnika naszego. O tem wszystkiem dawne teatrzyki pamiętały daleko lepiej jak obecne. Najbardziej tu zasługuje na uznanie *p. Russanowski*, który przed pięciu laty pierwszy dał początek ogródkowym przedstawieniom. Prawda, że grywane przez jego trupę sztuczki wychodziły nad wszelki wyraz miernie, przypominając bardzo jaskrawo epokę niedołężnego dzieciństwa sztuki—ale za to wyłącznie prawie były one swojskie a przeważnie ludowe. P. Stobiński także, w teatrzyku „Alhambra" przez dwa pierwsze lata swego pobytu układał repertuar po większej części ze sztuk oryginalnych, stojąc o wiele wyżej od poprzednika pod względem artystycznym. Dopiero w roku zeszłym dla konkurencyi zaczął się puszczać na płaczliwe, krwawe i czarodziejskie melodramy, przez co dał zły przykład innym teatrzykom, które widząc słabość niedojrzałej publiki dla wszelkiego rodzaju jaskrawizny i grubych efektów, obdzielają ją w hojnych dozach podobnemi przysmakami. Wobecnym sezonie najwięcej pamięta o swojskich sztukach p. Ratajewicz w „Eldorado" przedstawiwszy kilka mniej znanych i zapomnianych już dosyć oddawna. Tymczasem p. Trapszo, posiadający bezwątpienia towarzystwo najzdolniejsze i najliczniejsze, został na wkróś kosmopolitycznym. Na dwóch teatrzykach „Tivoli i Alhambra" zostających obecnie pod jego kierownictwem, sztuka oryginalna jest obecnie rzadkością, gdy tymczasem bardzo często ujrzysz na nich szerszego zakroju komedyje i dramaty francuskie. Od początku sezonu p. T. wystawił zaledwie kilka rzeczy swojskich pomiędzy niemi jedną tylko większych rozmiarów t. j. starczącą na całe widowisko (Ubodzy w salonie) i to jeszcze niefortunnie wybraną. Nasza literatura dramatyczna jest w istocie dosyć ubogą w porównaniu z niemiecką a tymbardziej francuską, ale przecież można z niej czerpać dosyć obficie. Przeglądając spis utworów dramatycznych w Biblijografii p. Estrejchera nalizyliśmy *przeszło dwieście* sztuk nieznanych ostatniemi laty na scenach Warszawskich, będących płodami pióra naszych znakomitych i znośnych autorów, wyłączając wszystkie dzieła istotnie szerokiego i poważnego zakroju albo też takie, których przedstawienie dla różnych powodów byłoby niemożliwem. Gdyby nawet trzecia część tych wybranych nie posiadała warunków powodzenia, znajdziemy około *stu pięćdziesięciu* komedyi i lżejszych dramatów kwalifikujących się dla scen ogródkowych, które znowu pod względem wyboru tak bardzo wybrednemi być niepotrzebują.

Niechby tylko w czasie czteromiesięcznego pobytu w Warszawie, każdy teatrzyk chciał przeciędiowo co rok wznowić takich sztuk *piętnaście*, juźby miał materyjał na lat *dziesięć* co najmniej, chociażby nawet wiele z nich jeszcze dla niepowodzenia musiał wycofać z bieżącego repertuaru. Wybierając nawet utwory *celniejszych* pisarzy niegrane u nas ostatniemi laty, przekonamy się że zbierze się z nich wcale spora gromadka. Można więc przedstawić następujące dzieła: *Fredry* (ojca): Cudzoziemczyzna, Ciotunia, Przyjaciele, Gwałtu co się dzieje, a nawet: Nowy Don Kiszot. *Korzeniowskiego Józefa:* Zakład, Umarli i żywi, Młoda wdowa, Dziewczyna i dama, Narzeczeni, Konkurenci, Młody mąż, Reputacyja w miasteczku, Złote kajdany, Stary kawaler, Majątek albo imię, Plotkarz. *Korzeniowskiego Apollona:* Dla miłego grosza, *Kraszewskiego* Ciepła wdówka. *Drzewnickiego* Kontrakty. Dmuszewskiego: Barbara Zapolska, *Bogusławskiego* Urojenie, Krewni, Złoty młodzieniec, Tak się dzieje, Lwy i lwice. *Kondratowicza:* Wiejscy politycy, Hrabia na Wątorach. *Koziebrodzkiego* Hrabia Maryjan, Pośliskiej drodze, Dzisiejsi. *Magnuszewskiego* Stary kawaler, Zdzisław. *Maleszewskiego* Nie wiara. *Narzymskiego* Epidemija, Poświęcenie, Pozytywni. *Pieńkowskiego* Odrodzony, Scena za sceną, *Sabowskiego* Półmiljona. *Sarneckiego* Febris aurea, Kalecy. *Skarbka* Czemu nie byłam sierotą, Rostrzepany, Zosia przybylanka, Sumienie, Pan Kwiryn, Ludzie nieczuli. *Szajnochy* Stasio, Zosia. *Szymanowskiego* Matka, Siła złego na jednego, Dzieje serca. *Urbańskiego* Podlotek, Serce i duma, Wielcy ludzie, Wojna z kuzynkiem. *Wieniarskiego* Warszawiacy i hreczkosieje. *Zabłockiego* Balik gospodarski, Fircyk w zalotach, Zabobonni k Żółta szlafmyca.

Mamy więc *siedemdziesiąt* sztuk lepszych, o szerszych rozmiarach (najmniejsze 2-u aktowe), do których znający w całej obszerności literaturę dramatyczną zapewne niejedną by jeszcze dorzucił. Stokroć jednak trudniej o sztuki czysto ludowe, z których zaledwie parę wybrać by się dało. Wobec zmienionego położenia naszego ludu, który obecnie znajduje się w nader ciekawej przejściowej fazie stanowczo już przestarzały się wszystkie utwory osnute na patryjarchalnym stanie dawnej jego zależności. Te komedyjki, sielanki dramatyczne, sielskie powieści w których zwykle przy końcu występuje pan dziedzic lub pani dziedziczka w roli Opatrzności nagradzającej za cnotę a karzącej za błędy, dziś już należą do niepowrotnej przeszłości. Trzeba więc nam koniecznie nowego rodzaju literatury popularnej, nowego rodzaju autorów odpowiadających potrzebom chwili obecnej.

Potrzeba także pisarzy malujących życie niższych sfer mieszczaństwa naszego, które z nielicznemi wyjątkami było zawsze niezasłużenie pomijane w naszej literaturze lubiącej przeważnie gościć albo w pełnym zawadyjackiego gwaru *dworku* szlacheckim alboteż we wspaniałych komnatach najpierwszych *herbowiczów* naszych. Zwracamy na to uwagę wszystkich naszych pisarzów-twórców, którzy daleko większą oddadzą przysługę społeczeństwu kilkoma utworami podobnego rodzaju chociażby nawet średniej wartości, aniżeli secinami czułych wierszydeł. Gdy zresztą niestać ich na prace oryginalne, niech pożyczają pomysły z nienieckich lub francuskich, niech je przetwarzają stosownie do naszych obecnych warunków, czyniąc wybór rozumie się trochę umiejętniejszy, jak np. pan *Anczyc*, który ostatniemi czasy zmarnował tyle humoru i zręczności pióra na takie nędzoty, jak Robert i Bertrand lub Błażek opętany.

Nie od samych jednak panów autorów zależy w tej mierze postęp skuteczny ale daleko więcej jeszcze od pp. Dyrektorów teatralnych, którzy nie mogą wymagać, aby dla nich darmo pisano. Powinni więc za wspólnem porozumieniem się oznaczyć autorom pewną tantyjemę, która jest bardzo możebną przy obecnem powodzeniu letnich widowisk. Ci panowie powinniby brać przykład

---

pod dniem 23 czerwca. Ztąd wyprowadza wniosek, że Wanda było nazwiskiem *obrzędowem* Wisły, że więc jest zabytkiem religii pogańskiéj, że jest po prostu *mitem* t. j. podaniem sprowadzającem bóstwa na ziemię. Zdaje się rzeczą prawdopodobną, że tak jest w rzeczy samej;—posuniemy się nawet dalej utrzymując, że i podanie o Kraku, do tego rodzaju *mitów* policzyć należy. Kościół starając się wykorzenić obrzędy pogańskie a przynajmniej spożytkować je na rzecz dogmatów własnych, u kopca Kraka postawił kościołek św. Benedykta a u mogiły Wandy — założył opactwo Cystersów, *wybierając na uroczystość poświęcenia nowego kościoła dzień obrzędowy pogański, dzień św. Jana Chrzciciela. Łatwo się tu dopatrzeć analogii.*

* *
*

W tymże zeszycie *Biblijoteki*, czytamy artykulik p. *Pawińskiego*, dowodzący na podstawie „Notatek kupca krakowskiego w podróży do Flandryi" i innych świadectw dziejowych, że handel nasz w XV wieku, rozciągał się w zachodnim kierunku do Gresfswaldu, Szczecina i Wiednia, więc do ujścia Odry i środkowego Dunaju, nie mówiąc już nic o Toruniu i Gdańsku, dalej, że Mikołaj Kurowski arcybiskup gnieźnieński (1402—1411), co zebrał ogromne skarby w złocie, srebrze, klejnotach, zamkach, wsiach i folwarkach, wysyłał *ciągle* statki do *Flandryi* z męsiwem i zbożem, że kupcy nasi *bezpośrednio* zdążali na targ w *Brugge*, dokąd w wiekach średnich ze wszech stron Europy ściągali handlujący z Francyi, Niemiec i Włoch. Przedmiot wywozowego handlu Polski stanowiły: wosk, miedź, ołów, *wełniane i lniane wyroby* i skórki z Węgier sprowadzane. Z jednéj notatki wypada, że ogólna wartość wywieziónego z Krakowa towaru *na jeden raz* wynosiła 10264 rs. i 40 kop. (68562 złp.) Tak było w XV wieku.

* *
*

W 53 N. *Wieńca* ukończono druk rozprawki p. *Henkla* p. n. *Postęp wyobrażeń religijnych w starożytności.* Tytuł ten odpowiada treści samego artykułu, gdyż autor traktuje tu wyłącznie niemal o pierwotnych wyobrażeniach człowieka, odnoszących się do bóstwa czyli o tak zwanych pojęciach *mitycznych*, które są wprawdzie źródłem ale nie podstawą religii u jakiegokolwiekbądź ludu. Zrobiwszy to zastrzeżenie, możemy z przyjemnością zaznaczyć, że w artykule p. *Henkla*, odbiły się, w części przynajmniej, te zdobycze naukowe które są chwałą *drugiej* połowy naszego stulecia. Zastanowić tu przedewszystkiem musi każdego czytelnika fakt, o którym nawet wykształceni niezupełne dokładne mają pojęcie, że wyobrażenia mityczne są poprostu tłoma, czeniem zjawisk przyrody a nie wyrazem, ucieleśnieniem tych idealnych poglądów, które mają drzemać w duszy *każdego* człowieka. Powtóre podał p. H. zasadniczą normę pojmowania tych wyobrażeń i oglądania ich w duchu ludzi, którzy go wytworzyli. Normę tę stanowi sam człowiek. „Jak co uczuwał w sobie, tak też rozumiał i po za sobą, tak wyobrażał w całéj przyrodzie". Jest to sposób tłomaczenia mitów powszechnie w nauce przyjęty a u nas bardzo mało rozpowszechniony, on daje nam klucz do rozwiązania zagadki *antropomorfizmu*. j. tej skłonności, która wiodła ludzi pierwotnych do nadawania bóstwom *ludzkiej postaci,* on nam wyjaśnia wszystkie owe kłótnie, spychania się z tronu, wypędzenia, skazywanie na kary i t. p. zajścia w niebie, które napotykamy w znanych nam mitologijach, a które dały tak skuteczną broń przeciw pogaństwu, pierwszym apostołom wiary Chrystusa. Są to dwa najjaśniejsze punkta w całej rozprawce. Powinny one przeniknąć nasze naukowe i literackie pogadanki, ażeby raz na zawsze wyprzeć fantastyczne bajania, które pojawiają się z konieczności tam, gdzie się zaczyna rozprawa o początku pojęć o bóstwie. Człowiek pierwotnie był umysłowym niedołęgą, nie wiele się wznosił nad poziom duchowy u zwierząt, nie znał innych przyczyn

ze swoich kolegów niemieckich w Alkazarze, naśladować układ tamecznego repertuaru złożonego prawie wyłącznie ze sztuk czysto swojskich, oryginalnych, nader skwapliwie pomnażany każdą nowością literatury dramatycznej niemieckiej.

Chociaż wielkie sceny niemieckie przedstawiają dotychczas jeszcze przeważnie utwory obce, Alkazar jednak, tak jak wszystkie popularne teatrzyki po miastach byłej rzeszy germańskiej, opiera się prawie wyłącznie na swojskim pierwiastku, nie mówiąc już o tem, że o trzecią część każe sobie taniej płacić za bilety. Taksamo winny postępować letnie teatrzyki. Scena Warszawska w ostatnich trzech dziesiątkach lat znajdowała się po za rozwojem sztuki krajowej. Kiedy nasza literatura poetyczna w drugiej ćwierci tego wieku wydawała największe w Europie arcydzieła, scena karmiła się okruchami paryskich teatrów bulwarowych,—Ostatniemi laty scena Warszawska na zupełnie inne wkroczyła drogi, tymczasem teatrzyki nasze chcą nam koniecznie owe czasy przypomnieć i wyciągają z pyłu zapomnienia stare i ckliwe nędzoty. Nowe pokolenie widzów może się z nich przekonać naocznie dla jakich to utworów zapominano u nas o sztuce krajowej.

Nie żądamy od pp. dyrektorów całkowitego i wyłącznego zamknięcia się w obrębie sztuk krajowych ale co najmniej ich *równouprawienia*, chcemy, aby co najmniej stanowiły *połowę* przedstawianego repertuaru.

Chociażby jednak wszystkie te nasze życzenia i żądania urzeczywistniły się zupełnie, nie wypełnią one jeszcze możliwych granic rozszerzenia i pielęgnowania żywiołu swojskiego w zabawach publicznych. Potrzeba nam jeszcze czysto popularnych miejsc rozrywki, dostępnych nawet dla stosunkowo bardzo ubogich, miejsc tańszych jeszcze co najmniej o połowę od dotychczasowych. Takie teatrzyki urządzone skromniuchno ale porządnie, mogłyby służyć głównie dla śpiewania piosenek, przedstawiania drobnych scen i małych sztuczek ludowych. Kilka śpiewaczek i śpiewaków z humorem, werwą i jakim takim głosem zapewniło by im niewątpliwie powodzenie. W r. zeszłym były wprawdzie dwa arcy tanie teatrzyki, ale posiadając zupełnie lichy personel, grając mdłe sztuczki niemogły sprawić żadnego wrażenia, które jest nieodzownym warunkiem napływu publiczności. Podobne ogródki śpiewające w znacznej liczbie znajdują się po wszystkich miastach francuskich i niemieckich. U nas powstać tak prędko nie mogą, dla braku spiewaków i szczupłej liczby piosnek podobnego rodzaju. Powinnyby jednak już istniejące ogródki przygotować powoli do tego materyjały, zamieszczając codziennie w programie przynajmniej dwa podobne numery. Do istniejących już piosenek muzycy nasi i wierszopisowie dodaliby nowe, stopniowo wzrastałby gust podobnych widowisk, wyrabiali się śpiewacy aż nareszcie oddzieliłyby się od już istniejących, zyskawszy dla widowisk letnich dziesięćkroć jeszcze liczniejszą ilość słuchaczów. Bezpośrednim tego skutkiem byłoby jeszcze znaczniejsze zmniejszenie wpływu knajpy a nadewszystko zapewnienie możliwie obszernego krzewienia swojskości w zabawie. Doniosłość tego wpływu oceni każdy człowiek myślący i miłujący dobro ogółu. Uszlachetnienie mas jest jednym z najpiękniejszych celów pracy społecznej. Wykazaliśmy w obranym zakresie możność i środki tego uszlachetnienia; wykonanie zaś należy do ludzi mających w ręku ster zabawy. Jesteśmy pewni, że postępując wytkniętą przez nas drogą zyskują sobie sympatyję i uznanie światłej publiczności, i pracy. Trzeba tylko dobrych chęci!

TURNIEJE.

Dano znak—dzwon się rozległ—szczęknęły pod-
[kowy
Na wygłodzonych jeźdzców—baryjery i rowy
Czekają wśród areny.....
Dopiero to na polu—gdzie ogromne koło
Wszedłszy w szranki, dżokieje pląsają wesoło
I kolorową kurtą, nim sławy dostąpią
W żywych strumieniach światła, jak sroki się kąpią.
Dochodzą, już dochodzą nierównym szeregiem
Do drewnianej baryjery—niewstrzymanym biegiem
Przed gorącem natarciem przeszkodowa ściana
Roztrącona kopytem—wali się złamana...
Ale baczność zwycięzco!—już z boków i w tyle
Współzawodników koło w wytężonéj sile
Śpieszy—czas rów przeskoczyć... Ty zuchu na
[przodzie
Wszak cię pan twój wytrzymał o chlebie i wodzie
Abyś jak strzała lekko przeszywał powietrze
I kurtę rozpuściwszy na swobodnym wietrze—
Poprzesadzał przeszkody—a on ci w nagrodę
Za edukacyją szkapy, za ów chleb i wodę
Sprawi ucztę... no! śmiało!!.. już ci w dłonie klas-
[kał...
Szkoda.... dżokiej spadł z konia i głowę roztrzaskał!
I wśród wrzawy oklasków grzmiących pod niebiosy
Rozległ się jęk i... biczów podwojone ciosy!

Juljan Mohort.

PAMIĘTNIKI PANA SYMFORYJONA.

Z notatek po nim pozostałych

SPISAŁ

Walery Przyborowski.

Nie byłem jednak pewny, czy czasem Sabince się nie oświadczył. Należało się naturalnie najprzód przekonać, ażeby swéj powagi i wiekiem i urzędem nabytej na szwank nie narazić. Przyparłem więc Sabinkę razu pewnego do kąta, tak że mi się wymknąć nie mogła i wprost zapytałem:

— Powiedz mi dziewczyno, tylko bez wykrętów, czy ci się oświadczył?

Dziewczyna spojrzała na mnie swemi lazurowemi oczętami i parsknęła śmiechem jak koza jaka. Utrzymując jednak moją powagę, spojrzałem na nią ostro i rzekłem surowo:

— Tu nie ma się czego śmiać Sabinko— to są rzeczy wielkiej wagi — tu idzie o twoje szczęście.

— Ach mój Boże! klasnęła w ręce—o tak ważne rzeczy idzie — mój szwagierku kiedy masz taką śmieszną minę, zupełnie wyglądasz jak Żółkowski w Geldhabie — i śmiała się dalej.

— Jak wyglądam tak wyglądam—a ty się nie masz czego śmiać — proszę cię Sabinko, powiedz otwarcie czy ci się pan Zygmunt oświadczył, bo jeźli nie, to cię bałamuci, rozumiesz mię?! i ja mu wymówię mój dom...

Dziewczyna zbladła, spoważniała i szepnęła spuszczając oczęta:

— Mój szwagierku proszę się nie gniewać... pan Zygmunt... pan Zygmunt...

— No, ale cóż pan Zygmunt? mówże raz— cóż? oświadczył się?

— Tak! szepnęła, zarumieniła się, porwała i uciekła.

---

ruchu oprócz tych, jakie w samym sobie napotykał; wszystkie więc ruchy ciał niebieskich i ziemskich tłomaczył na podstawie tej jedynej dla niego przyczyny.

Obok tego jednakże musimy zaznaczyć, że p. H. nie wszędzie się utrzymał na wyżynach nauki. Być może, że pod tym względm przyczyną niejasności lub nieścisłości, była forma feljetonowego pisania, jaką obrał sobie autor i bardzo jej zręcznie używał, ale być także może, że i same przekonania grają tu pewną rolę. Bądź co bądź, trudno się zgodzić, żeby wszystkie wyobrażenia mityczne były dziełem „wyłącznej działalności wyobraźni". I owszem, wszystko co człowiek pierwotny wyobraził sobie było *dla niego* najświętszą prawdą; jego wyobrażenia mityczne były *jedyną jego wiedzą*, bo innej nie posiadał; były one produktem tego stopnia umysłowego rozwoju, który wtedy posiadał, nie mając jeszcze tysiąca doświadczeń z dnia na dzień potwierdzających poprzednie spostrzeżenia. Dalej mogą dać najzupełniej błędne wyobrażenie o processie powstawania mitów, takie np. ustępy: „Rozdzielono rzeczy ziemskie na rozmaite zakresy interwencyi nadziemskiej, wybrano specyjalnych bogów na strzeżenie niw i lasów" i t. d. Zdawałoby się, że ci ludzie pierwotnie postępują sobie jak władza parlamentarna, wybierają większością głosów takich a takich urzędników do takich a takich czynności; gdy tymczasem rzecz się ma zupełnie przeciwnie: ludzie ci zostawali pod najistotniejszym wpływem owych zjawisk przyrody, których nie umiejąc sobie wytłumaczyć i tak jak my dzisiaj, przypisywali im własności wyższe, potęgę niezwykłą—boską. Po za tę niziuchnę sferę pojęć posunęła ludzkość dopiero ścisła obserwacya i na niej oparta nauka. Po trzecie p. H. odróżnia antropomorfizm, jako dalszy rozwój pierwotnego fetyszyzmu. Ażeby to miało jakieś naukowe znaczenie, potrzeba było przytoczyć pewne dane. My ich nieznamy. Fetyszyzm powstał u tych ludów, których zdolności umysłowe stały i stoją dotąd na bardzo nizkim poziomie jak np. nieszczęśliwe ludy Afryki i Australii. W rasie czynnej, umysłowo wyższej np. u Hindusów, Greków, Germanów (przytaczamy narody, których mitologije stosunkowo najlepiej są znane), antropomorfizm panuje od początku, nie mamy przynajmniej śladów, żeby niegdyś było inaczej. Same już te zarzuty świadczą, że rozprawkę p. Henkla bardzo cenimy i polecamy ją do czytania,

* * *

Kilkakrotnie mieliśmy już zamiar zwrócić uwagę czytelników na sposób, w jaki niektórzy pisarze traktują u nas kwestyje naukowe. Istotnie, trudno roztrzygnąć, czy się śmiać czy litować na widok tej maskarady literackiej, w której poważny skądinąd człowiek, wdziewa czapkę arlekina, by kosztem nauki ubawić znudzoną publiczność. Nauka powinna się zbijać nauką — powiedział niedawno Hodi, — a nie lichemi konceptami, których wstyd używać ludziom, występującym w imię dobra powszechnego. Nie będziemy przypominali dawnych grzechów; niepodobna atoli pominąć pocisków z zaułka, jakie pp. YY, XX i t. d. rzucają na teoryją Darwina i jego zwolenników. Są oni prawdziwemi bohaterami w krainie śmieszności a przenosząc swe spółpracownictwo ze szpalt Kuryjerka Świątecznego do organów, w których czytelnicy przywykli widzieć przedstawicieli powagi i rozumu, tem komiczniejszemi się wydają. Przytoczymy choć jedno zdanie dla przykładu: „Idąc tak dalej, (t. j. stosując teoryję zmienności gatunków) powiada korrespondent lubelski do Kłosów Nr. 366, kto wie, czy nasi wnukowie nie zrobią sobie bogiem gorylli, na wzór naszych praojców, czczących byków i krokodyle. Dawno uśpieni umarli, powstaną ze swych grobów i zaczną na nowo taniec śmiertelny. Co wprzódy nazywano Jowiszem, będzie się teraz nazywać siłą, dawniejsza Junona zwać się będzie monerą, Apollo, księciem kwasu siarczane-

— Ano kiedy tak, rzekłem do siebie, to całkiem co innego, całkiem co innego!... teraz tylko panicza trzeba przyprzeć, powieść na ślubny kobierzec i... niech im Pan Bóg błogosławi.

Niedługo też czekałem na taką sposobność. Pan Zygmunt znowu w jakiemś piśmie palnął madrygał do Sabinki, gdzie obok rozmaitych andronów, pisał, że gotów jest dla niej w ogień skoczyć, do piekła pójść, samemu Bogu gwiazdy z pod stóp rwać.

— A to już głupstwa, rzekłem do siebie — co to takie koszałki, opałki pleść, kompromitować córkę obywatelską! ano, dosyć już tego.

Kiedy więc przyszedł do mnie we środę, łapę go, prowadzę do osobnego pokoju i walę prosto z mostu:

— No i cóż panie Zygmuncie, co pan myślisz? co będzie dalej? tak przecie zostać nie może.

— Z czem? proszę pana? zapytał udając głupiego.

— Ano z Sabinką, pan temi tam wierszami kompromitujesz pannę — ja jestem sobie prosty, otwarty człowiek i pytam się pana, czy chcesz się z nią żenić?

— A jakże, a jakże proszę pana. Ja pannę Sabinę szanuję, kocham szczerze...

— Więc czemu pan się nie oświadczasz matce? hę!... czemu uczciwie, po staropolsku nie postępujesz, pisząc tam jakieś androny.

— To mniejsza panie Symforyjonie — jak zaś mam postępować to już moja rzecz — chciej mi pan tylko dopomódz, uprzedź matkę panny Sabiny, ja jutro tam będę i oświadczę się.

— A tak to co innego! dobrze, już ja matkę uprzedzę.

Uścisnęliśmy więc sobie ręce i jak gdyby nigdy nic, wrócili do gości. Sabinka coś przeczuwała, bo jak tylko znalazła sposobność, jak się nie przypnie do mnie jak pijawka, jak nie zacznie pytać, umizgać się, głaskać, tak jej musiałem powiedzieć:

— Zobaczysz jutro — pan Zygmunt tam u was będzie.

Tego jej też trzeba było, zarumieniła się jak róża, klasnęła w ręce i zawołała:

— Ach mój Boże, już wiem, już wiem — po co to szwagierku?

— Jakto, po co? cóż to chce ci się romansów bez ślubu — ano tak być nie może.

— Ale ja się boję!

— O! wy się wszystkie boicie, zamiast co my powinniśmy się bać.

Nazajutrz więc pan Zygmunt się oświadczył i został przyjęty. O! czemuż się w dzień ten co nie stało, jaki wypadek coby przeszkodził tym zaręczynom! Ale widać już taka była wola Boża.

Moja żona dziwnie była niezadowolona z takiego stanu rzeczy. Mówiła ona, że to czyste nieszczęście takie niedobrane małżeństwo — ale ja się z tego śmiałem w kącie, a wreszcie mało na to zwracałem uwagi, bo było to już lato i rozpoczęły się teatrzyki po ogródkach, które ja bardzo a bardzo lubię. Jeszcze wtedy w Eldorado pyszna Goszka tak ślicznie śpiewała — a kankan?! ach! co to za kankan był Panie!... To też całe wieczory przepędzałem w Eldorado, bo to i było czego posłuchać i na co patrzeć, jak ta Francuzica wywijała nogami i jeszcze przy kufelku piwa można było dosyć się nagadać. Czasami dla przyjemności już umysłowej tylko, chodziłem do Tiwoli, mianowicie wtedy, kiedy grano znakomitą sztukę: Ralf rozbójnik czyli podziemia. Bo wyobraźcie sobie państwo tego Ralfa, człowieka skądinąd bardzo zacnego, zmuszonego nieszczęśliwemi wypadkami..... ale to do rzeczy nie należy. Pan Zygmunt, że to był sensat wielki i strasznie uczony, śmiał się ze mnie, kiedym mu mówił o tej sztuce. Ano śmiejże ty się sobie, a ja taki powiadam, że żebyś ty na głowie chodził to nic podobnego nie napiszesz. Ralf to ananas sztuka!

Z drugiej strony rozpoczęła się wtedy wojna prusko-austryjacka. Wszyscy przepowiadali, że Austryjacy wygrają, a ja zawsze mówiłem, że nie — że Prussacy ich w puch rozbiją. Kłócili się ze mną, nazywali mię Prusakiem, Szwabem i djabli już nie wiedzą czem—a przecież na mojem stanęło. A że to była wojna wielkiej wagi i doniosłości ogromnej, jak mówił uczony pan Zygmunt, ja jej byłem bardzo ciekawy i z upragnieniem czytywałem wiadomości polityczne w kuryjerku. Nawet zaprenumerowałem już wtedy Gazetę Warszawską—ale to strasznie mądra gazeta, djabli by ich tam zrozumieli. Dosyć, że mię ta wojna tak dalece zajęła, żem już zapomniał o całym świecie. Bo to panie nie lada rzecz była. Prussy małe dotąd, drugorzędne państewko, wyrastają nagle w olbrzyma, imponują światu. Równowaga Europy naruszona — miecz jakiegoś tam Damoklesa, według pana Zygmunta, wisi nad światem...

Zapomniawszy więc o wszystkiem, nie dziw, że i nie pamiętałem, a raczej nie zwracałem uwagi na to, że pan Zygmunt znowu kunktuje ze ślubem. Sabinka już wyprawę miała prawie gotową, a on zwłóczył i zwłóczył, z dnia na dzień odkładał. Dziewczynę to martwiło, tym więcej, że jakem później się dowiedział, moja żona kładła jej w głowę, że pan Zygmunt nie dla niej mąż, że będą nieszczęśliwi, że mają niezgodne usposobienia i poglądy na życie i tym podobne androny. Ano, jak to teraz widzę, miała moja Elżunia racyją—ale wonczas któż mógł przewidzieć?

Pan Zygmunt ze swej strony, jak mi to później powiedziano, także się wahał. Ten jego przyjaciel, białogłowy i bez obcasów pan Kazimierz gadał mu nieraz całemi godzinami.

— Ty się robisz nieszczęśliwym, to nie dla ciebie kobieta. Ona będzie doskonałą żoną, matką, kucharką, będzie dbać o twe wygody—ale nic więcej — z niej nie będziesz miał towarzyszki, przyjaciółki, któraby cię zrozumiała, stanęła na wysokości twych poglądów i pojęć, któraby je umiała w końcu uszanować. Przeciwnie usiłować będzie nagiąć cię, zniżyć do swego episierskiego poziomu, a ty się nie dasz, bo i dać nie możesz i nie powinieneś. Masz w piersi talent od Boga dany i nie wolno ci go marnować dla tego, że żona twa będzie czystej krwi biurgerką. Ztąd wywiąże się walka na śmierć i jedno z was w niej uledz będzie musiało. A które ulegnie? łatwo przewidzieć, że nie ona, bo za nią falangą stanie wszystko robactwo, wszystek przesąd i powali cię jak nic Zygmuncie!

— To prawda, to prawda, odpowiadał pan Zygmunt, ale ja ją przerobię, już ja ją podniosę. W tym umyśle świeżym, dziewiczym łatwo, jak na wosku miękkim odcisnąć wszystko co piękne, co wzniosłe, co ludzkie. Ona mię kocha a kobieta kochająca wszystko ze siebie zrobić jest zdolną. Potrafię ja jéj skrzydła tęczowe do ramion przypiąć i powieść do gwiazd.

— Zobaczymy, zobaczymy! odpowiadał Kazimierz, ale radzę ci szczerze, namyśl się, namyśl Zygmuncie.

To też pan Zygmunt słuchając takich banaluk, namyślał się i namyślał ciągle a dzień za dniem upływał. Ja zajęty czem innem nie

---

go a Lucyper witryjolejem. Półmiski z jarzyną zastąpią kastalskie źródła, a Pytyja zasiędzie na rozkaz Moleschota... w jakiem białku". Czy podobnie jowijalne przekpiwanie teoryi naukowej może kogoś nauczyć albo przekonać; czy p. XX. jest tego zdania, że należy zagradzać drogę postępu straszydłami wytworzonemi we własnej imaginacyi i narzucać je zwolennikom nauki doświadczalnej, opierającej się na faktach, na rozwoju rozumu, — a zatem biorącej rozbrat z niekrytycznem, uczuciowem tylko pojmowaniem przyrody, którą czcili „praojcowie nasi"? Doprawdy, że z drugiej części jego artykułu możnaby najsłuszniej te ubliżające mu wnioski wyciągnąć. Szczęściem że orzekł poprzednio, iż *prawdziwa nauka* żadnej szkody społeczeństwu nie przyniesie. Cały więc błąd p. XX. leży w tem, że teoryi Darwina nie uważa za prawdziwą naukę; dlaczego, nie wiemy, bo chociaż teoryja ta ma swoich naukowych przeciwników, to ci walczą z nią na mocy dowodów; autor puściwszy się na pole żarcików zapomniał o nich, co przecież jedynie mogło świadczyć na jego dobrą lub złą stronę. Ma słuszność p. XX. twierdząc, że teoryja Darwina „zawraca głowę" tym jedynie, którzy ją znają ze słyszenia, z pociesznych paradoksów; trudno nam jednakże było dopatrzeć w samym autorze korespondencyi owego obeznania się z przedmiotem, które ochronićby go mogło, od robienia zupełnie nieuzasadnionych zarzutów.

*　　*　　*

Smutny jest dzisiejszy stan naszej opery — smutny dla dyrekcyi teatralnej, której wewnętrzny spokój nieraz zakłócać muszą wspomnienia lepszej przeszłości — smutny dla śpiewaków, którzy mając najlepsze chęci nieposiadają dostatecznych sił — i wreszcie smutny dla publiczności, która płacąc przyzwoicie, niema przyzwoitego zadowolnienia.

Artystów zasłużonych — starej daty — z każdym dniem mniej posiadamy, a młodym — brak wzorów, właściwego kierunku, a może i talentów.

Najlepszy tego dowód dało nam przedstawienie „Marty" Flotowa, tej opery pełnej pomysłów arcy-poetycznych a tak arcy-prozaicznie przez niedoświadczonych artystów popsutej. Główną rolę przedstawiła p. Wojakowska — śpiewaczka najzdolniejsza z młodych, która jednak obok wiele obiecującego talentu, obok zapału i muzykalności, posiada wątły głos i jeszcze wątlejszą metodę.

Przedewszystkiem radzimy p. W. odtwarzanych bardziej zgłębiać charakter postaci, więcej myśleć nad rodzajem swych ról.... Przedstawiona przez nią księżna w „Żydówce". Marta w operze tegoż nazwiska i Paulina pokojówka w „Życiu Paryskiem" podobne są do siebie jak bliźnięta.

Swobodę sceniczną ma p. W. lecz często w jej grze razi brak dystynnkcyi, monotonność a czasem nawet bezmyślność akcyi i ruchów.

Studyjując naturę, zastanawiając się psychologicznie nad objawami uczuć ludzkich p. W. niezawodnie doszłaby do przekonania że niezawsze podniesienie lewej lub prawej ręki do czoła, wyraża dostatecznie przerażenie lub zakłopotanie; że ów giest tak częsty u niej, owo machinalne składanie dłoni na piersiach nawet w najobojętniejszych sytuacyjach, może być branym za dostaczne objawieniem uczucia tylko przez początkujących aktorów.

Niezaszkodziłoby pamiętać, że jeżeli brak ruchów jest błędem, to niestosowne ich użycie powiększa go jeszcze.... Pod względem właściwości ruchów radzimy p. W. studyjować p. Modrzejewską.

A teraz kilka słów co do samego śpiewu.

Głosy niewielkie tylko przez wdzięk, cieniowanie i wykończenie szczegółowe, nie zaś przez siłę czyli raczej wysilanie zyskują na efekcie, gdy tymczasem p. W. nieuwzględnia jeszcze tego chociaż warto nad tem pomyśleć, bo inaczej można w krótkim czasie głos zmarnować. Oprócz tego trzeba się starać o większą

zważałem na to i byłbym nie zważał, gdyby nie następujący wypadek:

Za dziedzińcem mojéj kamienicy, urządziłem sobie mały ogródek, gęsto go zasadziłem drzewami i kwiatami. Były tam aleje cieniste, parę altanek obrosłych bluszczem i dzikiem winem, pełno krzaków róż, bzu i innego kwiecia. Lubiłem tam często w czasie upałów, chodzić na drzemkę poobiednią, niekiedy wieczorem piliśmy tam herbatę lub podwieczorek jedli. Jednego dnia, już o zmroku, wybierając się do Eldorado, postanowiłem narwać róż i innych kwiatów, ułożyć z tego bukiet i cisnąć go na scenę pod nogi Goszki. Naturalnie robiło się to potajemnie przed Elżunią, więc cichaczem zakradłem się do ogrodu i podsunąwszy się pod jednę z altan, gdzie były najpiękniejsze centofolije, usłyszałem najprzód szept jakiś głuchy a potem taki odgłos jak od pocałunków. Zaciekawiony niezmiernie, rozchylam leciutko gałęzie, zaglądam i widzę jak pan Zygmunt klęczy u nóg Sabinki i całuje ją po łapkach a nawet po buzi. Nie namyślając się więc długo, przybieram srogą minę, wypadam z krzaków i staję przd niemi. Dopieroż spłoszeni, jak się nie porwą a Sabinka jak alkiermas czerwona, jak się nie zakręci, nie szarpnie i nie frunie, tak, że tylko ja i pan Zygmunt zostałem.

— A to pięknie, to pięknie panie Zygmuncie, pan mi bałamucisz Sabinkę a żenić się nie chcesz — cóż to, schadzki po altanach, cóż to? pan sobie kpisz czy co? ano, ja na to nie pozwolę.

— Uspokój się pan panie Symforyjonie, uspokój nic złego się nie stało!

— Nic złego się nie stało! a cóż pan chcesz żeby się stało. Jak go też dopiero przyprę, jak nie wsiądę na niego, jak mu nie wezmę nacierać uszów, wyrzucać jego kunktatorswa, tak mi dał słowo honoru, że w trzy tygodnie ślub się odbędzie...

Ano i odbył się ten ślub—ja na nim byłem, ududlałem się co się zmieściło, ale co najgorsza, żem w wista z r obrem przewalił 15 rubli za co potem przez dwa miesiące nie miałem spokoju od Elżuni... Ale postawiłem na swojem!... *(d. c. n.)*

NAMIĘTNOŚCI.

(Z „Zagadnień Duchowych" **Augusta Langela**).

Namiętność powstaje z połączania skłonności przyrodzonych z działaniem myśli. Stąd to pochodzi, że ogólny ich charakter jest tak złożony i chwiejny. Sam ideał nie jest w możności stawiać namiętnościom skutecznego oporu, jeśli te bezwiednie miotają człowiekiem. Nie może zapobiedz ażeby krew, pochodzenie, ciało i temperament jako wiecznie działające sprężyny—nie wywierały przeważnego nań wpływu.

Myśl jednak i rozumowanie zdolne są w najrozmaitszy sposób naginać i kształtować pracę sił wewnętrznych. Podobnie jak ciśnienie pary, ta ogólna własność wody w stanie lotnym, zostało spożytkowanem w najróżnorodniejszych gałęziach przemysłu, tak również i ożywiająca nas energija, może być rozmaicie zastosowaną. Namiętności są niejako łącznikiem pomiędzy ciałem i duchem; hamowane, stosowane a nadewszystko kierowane przez ideał, stają się same regulatorami instynktu. Podobne do olbrzymich drzew, korzeniami swemi sięgają głęboko w ustrój organiczny człowieka, a wierzchołkami wznoszą się aż do krańcowych wyżyn myśli ludzkiéj;—nie są jednak tak swobodne jak myśl lub tak niewolnicze jak popęd fizyczny. Dwoistość ludzkiéj natury odbija się w nich najjawniéj, i dla tego rożgatunkowanie namiętności jest rzeczą nadzwyczaj trudną. W jednych osobnikach napotykamy charaktery tylko niezłomne, w innych zanadto arbitralne. Pojedyncza namiętność może mieć swój początek w wielu popędach wrodzonych i nawzajem jeden popęd wrodzony może zasilać jednocześnie wiele różnorodnych namiętności. W miarę jak ideał stopniowo zmienia się,—tajemne dążności istoty ludzkiéj również ulegają powolnym zboczeniom.

I dziś jeszcze śmiało możnaby zastosować określenie namiętności podane przez Descartes'a podstawiając wyraz: „*skłonności wrodzone*" zamiast „*ruchy duchów nerwowych*".

„Zdaje mi się, (mówi on w dziele pod tytułem „Namiętności duszy") że można je ogólnie określić jako poczucia, wzruszenia lub uczucia duszy, odnoszące się wyłącznie do niéj samej, wywołane i utrzymywane a nadto bezustannie zasilane przez pewnego rodzaju *ruchliwość duchową*."

„Mówiąc poprzednio że wspomnione poczucia, wzruszenia lub uczucia odnoszą się wyłącznie do duszy, (mówi daléj Descartes) uczyniłem to głównie dla odróżnienia ich od innych więcéj materyjalnych uczuć, w nas istniejących, z których jedne odnosimy do przedmiotów zewnętrznych, jako to do dźwięku, barw, zapachu; inne znowu do potrzeb lub wrażeń naszego ciała jak do głodu, pragnienia, bólu. Dodać tu jeszcze wypada że uważano je za wywołane, utrzymywane i zasilane przez pewnego rodzaju ruchliwość duchową, raz dla odróżnienia od naszej woli, którą możnaby również nazwać wzruszeniem duszy odnoszącem się wprost do niéj samej, lecz mającem początek w niéj saméj;—powtóre dla jaśniejszego oznaczenia najpierwszej i najbliższéj ich przyczyny, mogącéj na przyszłość, służyć do odróżnienia od innych uczuć".

Ten zatem popęd wrodzony, lub, jak mówi Descartes, ruchliwość duchowa, jest przyczyną namiętności, utrzymując i zasilając je swym wpływem. Dla łatwiejszego zrozumienia, można powiedzieć, że namiętności są to ruchy myśli wywołane ruchem skłonności.

Badając tajniki duszy ludzkiéj, Descartes przyszedł jakoś do przekonania, że wszelkie namiętności redukują się do sześciu głównych pierwiastkowych a mianowicie: uwielbienia, miłości, nienawiści, żądzy, radości i smutku. Pozostałe są podług niego, tylko kombinacyjami tych sześciu namiętności, lub ich odcieniami. Na téj zasadzie powstają: szacunek, wzgarda, wspaniałomyślność, duma, cześć, lekceważenie, nadzieja, chwiejność, odwaga, śmiałość, współzawodnictwo, tchórzliwość i bojaźń, wyrzuty sumienia, złośliwość, zawiść, litość, zadowolenie z siebie, poczucie winy, wdzięczność, niewdzięczność, oburzenie, gniew, poczucie chwały, wstyd, bezczelność, zniechęcenie, żal i wesołość. Cała jednak ta geneza namiętności jest więcéj sztuczną jak naturalną, budowa jéj zbliża się bardzo do analizy chemicznej, a w naszém przekonaniu niepodobna badać objawy moralne życia ludzkiego, tak, jak to czynimy badając skład chemiczny ciał poddawanych analizie. Duch to nie ciało na które można działać odczynnikami, a tajniki jego nie dają się podciągnąć pod żadne wzory i obrachowania.

---

pełność w wysokich tonach, idąc w górę od *e* pod piątą linją. Wtej skali p. Wojakowska śpiewa zwykle tak zwanym technicznie *głosem białym* co jest wielkim błędem i w czem właśnie celuje p. Kazalski, który śpiewał w „Marcie" rolę Lionela.

Jeżeli pannie W. ośmieliliśmy się uczynić powyższe uwagi to tylko ze względu na jej talent i pracę, które z łatwością, zmianę w niej zdolne są sprowadzić; to też ani nad śpiewem ani nad grą p. Kazalskiego i panny Mellerowicz zastanawiać się niemyślimy, sądząc—że dyrekcyja tylko przez pomyłkę powierzyła im pierwszorzędne role w Marcie.

Przy zdarzonej sposobności pomówimy także o innych artystach dzisiaj tylko przyznać musimy pp. Kozieradzkiemu i Prochazce że słuszne otrzymywali oklaski od publiczności za staranność w obmyśleniu i wykonaniu swych ról.

* * *

W piśmiennictwie naszem oddawna czuć się daje brak prawdziwie tanich książek. Nie posiadamy nic w rodzaju niewielkich wydań klassyków, a jednak tym tylko sposobem można dojść do ustalenia powszechnéj oświaty do utrwalenia w masach poczucia wielkich myśli i wielkich celów. Co prawda, książka u nas wydana chociażby najmniéj kosztowała niemało liczyć nawet na setną część nabywców, jakie znajdują zawsze dobre książki francuskiem lub niemieckiem języku pisane. Niemniéj jednak nieulega wątpliwości od książki któréj mało sprzedać choćby tylko 3, 4, 5 tysięcy egzemplarzy, może być odstąpioną za cenę niesłychanie nizko bez żadnéj straty wydawców, a nawet z naddatkiem zysków za pracę. Od kilku lat robią i u nas próby w tym kierunku, a spodziewać należy że ostatnia na wielką skalę przez Redakcyję Przeglądu Tygodniowego przedsięwzięte wyda pomyślne rezultaty. Wspominaliśmy już o kwestyi tanich książek przy wzmiance o wydaniu dzieł Syrokomli przez p. Ungra dokonanem. Nie mniéj zasługując na usilne poparcie przedsiebierczość w tym kierunku Pp. Gebethnera i Wolfa, który jak się dowiadujemy obecnie, zamierzają odbić drugie wydanie znakomitéj „Historyi Cywilizacyi w Anglii" Boekle a wybornem tłomaczeniu p. Zawadzkiego (z opuszczeniem odnośników dla zmniejszenia objętości i sprzedawać takowe po cenie nizkiéj.

* * *

Z wyjątkiem kilku utworów poetycznych nie próbowano u nas dotychczas wydawnictwa klasycznych dzieł naszéj literatury w formie i w cenie dla ogółu przystępnemi. Ajednak ileż wyborowych książek wybraćby można zupełnie zapomnianych lub znanych zaledwie z tytułu! Nie zapominajmy iż oprócz innych względów sama dbałość o czystość i poprawność języka winna nas skłonić do przechowywania i rozpowszechnienia zabytków dobréj polszczyzny, tak haniebnie od wielu lat znieważanéj wpływami cudzoziemczyzny. Czy nienależałoby także aby pisma nasze gorecéj wzięły do serca sprawę języka i w jak najczęściéj podawanych artykułach ostrzegały ogół o szerzącéj się zarazie błędów. Przykro pomyśleć, że ani jedno pismo nasze nie wzięło na siebie tego obowiązku, a przecież zdaniem naszem, jeśli co, to właśnie tego rodzaju tendencyje na pierwszym planie swéj działalności, wszystkie bez wyjątku postawić powinny. Ażeby zaś niepoprzestać na zapędzaniu innych do pracy postaramy się w krótkim czasie, brak ten w Opiekunie Domowym zapełnić.

wania matematyczne. Zboczenia i zawikłania tych objawów nie są dotąd jeszcze gruntownie zbadane i stanowczo określone przez żadną naukę ścisłą. Moraliści starając się jedném słowem określić dane usposobienie lub szczególny stan duszy ludzkiéj, zapominają że do wywołania tych objawów przyczynia się współdziałanie całego szeregu popędów wrodzonych. Widmo słoneczne nie ma w sobie tyle odcieni kolorów ile jest odcieni namiętności ludzkich. W miłości może być duma, nadzieja, obawa, zazdrość, rozpacz, tchórzowatość, wyrzuty sumienia, litość i wiele innych tym podobnych; w uwielbienie samo wkrada się nienawiść, obawa, ironia.

Gratiolet w dziele swem „O fizyjognomii i wyrazistych poruszeniach twarzy" (De la physionomie et des mouvements d'expression) dzieli namiętności na pierwotne i pochodne. Do pierwszych zalicza następujące.

Rozkosz — boleść.
Radość — smutek.
Rozkosz zmysłowa — udręczenie.
Zadowolenie — znudzenie.
Ufność — powątpiewanie.
Spokój — gniew.
Energija — chwiejność.
Duma — pokora.
Pycha — płaszczenie się.
Czelność — wstyd.
Miłość — nienawiść.
Szacunek — pogarda.
Uwielbienie — wstręt.
Dobroć — złość.
Hojność — sknerstwo.
Odwaga — tchórzostwo.

Do drugich pochodnych czyli więcej złożonych, zalicza następujące:

Litość.
Cześć.
Lekceważenie.
Hypokryzyję.
Wahanie się.
Zazdrość i zawiść.
Złośliwość.
Podstęp.

Podział ten odznacza się wielką trafnością, a nadto sprawdza się przy bliższem zastanowieniu. I tak: we współczuciu okazywanem przez nas istnieją jednocześnie smutek i miłość,—w czci zamyka się uwielbienie i pokora;—współczucie zatem i cześć są niejako wynikiem wskazanych namiętności, będąc same przez się zupełnie odrębnemi objawami. Weźmy inne jeszcze przykłady jako to: lekceważenie wynikające z miłości własnéj i pogardy dla innych,—złośliwość w któréj dostrzegamy mięszaninę radości i wzgardy, zazdrość i zawiść będące podobnąż mięszaniną miłości i nienawiści i wahania się powstające z obawy i pożądania, a wszędzie w nich znajdziemy dowody trafności dokonanego przez Gratiolet'a podziału, na podstawie którego możnaby oznaczyć skład i źródło wielu innych namiętności.

To co powiedzieliśmy odnosi się do pierwiastkowych i podwójnych namiętności, to jest takich, które wynikają z dwu różnorodnych jednocześnie się rozwijających, lecz prócz nich istnieją jeszcze potrójne i poczwórne, a raczej wszystkie razem zostają w ciągłéj mięszaninie, falując bezustannie raz spokojnie to znów wybuchając z całą gwałtownością. Co wszakże jest niezaprzeczonym faktem, to, że że w każdym charakterze, jedném słowem w każdéj istocie ludziej znajduje się jedna przeważna i górująca nad innemi namiętność. Jak w mięszaninie kolorów, pierwiastkowa barwa przebija się stanowczo nad innemi, tak w ludzkiéj istocie główna namiętność wybitnie rysuje się na tle innych podrzędnych.

Tym sposobem dają się wytłómaczyć anomalije i oryginalności tak często zdarzające się w życiu człowieka. Są to wstrząśnienia niespodziane, spowodowane ciągłem natężeniem téj siły, bezustannie poskramianéj przez wolę, opór zewnętrzny i następstwa wychowania i wykształcenia światowego; dla tego więc obowiązkiem moralności jest zwracać nieustanną baczność na te podziemia duszy ludzkiéj i czuwać starannie nad podtrzymującemi je podstawami. (*d. c. n.*)

ZAPISKI
z podróży po Europie,

PRZEZ

J. Gordona.

(*Ciąg dalszy*).

W mieście dożów.—Krzysztof Kolumb.

Im więcéj zbliżasz się do Genui, tém bardziéj odzywają się w twém łonie tajemnicze, nie dające się wyrazić dźwięki duszy obcujące z sobą. Hymn to wielki, poemat nieskończoności i piękna, jakkolwiek bardziéj przepełniony namiętnością, niż myślą, gdzie wzruszenia serca i zmysłów najważniejszą odgrywają rolę.

Jestto uroczysta pieśń wszechstworzenia, którą duch twój ze wschodem jutrzenki nuci w czystem podniebiu włoskiem.

Lecz cóż to tam jaśnieje w oddaleniu o mil kilka, jakoby ginący w słonecznem przestworzu obrus, haftowany srebrem na tle błękitnem.

To zatoka genueńska, co się zarysowała w kształcie amfiteatru.

A tam na wyżynie przy zatoce widzisz rozrzucone wśród ciemnych gajów oliwnych i jaskrawéj zieloności drzew cytrynowych, w białej odzieży marmurowe pałace, wsparte dumnie na Apeninach. To właśnie owa *pyszna*, jak się sama nazwała, Genua, niegdyś królowa morska, niedbale rozciągnięta nad swym brzegiem, ów sławny gród dożów, którego Turyn z całą swą kolumnadą i wspaniałymi portyki jest zaledwie przedpokojem, a z niego jeszcze o kraju włoskim sądzićby nie można.

Bez wątpienia ze wszystkich miast nadmorskich we Włoszech Genua jest najpiękniejszém, pomimo że serce jej już dawno bić przestało. Dowodzą turyści, że port genueński więcéj mieści wdzięku niż Bosfor Konstantynopolitański.

Tylko niestety, że w Genui życie i śmierć tak blisko sąsiadują z sobą! Na dole miasta u przystani panuje ruch, zgiełk, hałas; lecz im wyżéj stąpasz pomiędzy wyniosłe jak topole cyprysy i marmury, tém większa cię ogarnia cisza, a tem głośniejszemi stają się twe kroki. We wspaniałych pałacach zamieszkało głuche milczenie, i tylko zefir muska południowe krzewy, pnące się na puste krużganki.

Przy wjeździe do miasta przez jedyną bramę Porta di Vacca, pierwszy raz widziałem tak zwane „mezzaro" genueńskie. Jestto biała, długa, zarzucona na głowę, na pół przezroczysta zasłona, używana przez kobiety. Bardzo im z tem do twarzy; ma to jakąś cechę zalotności wschodniéj.

Ale gdy miniesz Porta di Vacca, gdy zniknie ci z oczu wysmukła latarnia morska, a rzucisz okiem na wewnątrz miasta, łatwo tam dojrzysz, że podobnie jak wszystkie potęgi upadłe i zmuszone wyrzec się *przyszłości*, Genua pyszni się jeno swoją świetną *przeszłością*.

Stary pałac dożów panuje nad zatoką i taką ma minę, jak gdyby całe miasto było niegdyś zbudowane jedynie dla przyjemnego widoku doży.

Idąc po obszernych schodach tego pałacu, mimowolnie nasuwa się wyobraźni poważna postać z białą brodą staruszka, owego króla rzeczypospolitéj, wyszłego z klasy mieszczańskiéj zbogaconego kupiectwa, którego długie szaty ścierały kurzawę z tego samego kamienia, po którym stąpasz.

Ale cześć wspomnieniu o nim! gdyż Genua pod rządami dożów kwitnęła prawdziwie, miłowała sztuki i rękodzieła, a co najważniejsza była zawsze swobodniejszą od swéj rywalki Wenecyi.

W Wenecyi myśl ludzka na wspomnienie pałacu dożów, zwraca się najpierwéj w ponurą stronę starego miasta, z siedzibą strasznych inkwizytorów, jeszcze straszniejszem więzieniem i gmachem zwanym: ponte di sospiri (most westchnień).

Most westchnień! Z pomiędzy tych przerażających murów, ciemnych okien żelaznemi obitych kratami, z pomiędzy tych rygli i ciężkich zamków nie jedna niewinna ofiara szła na śmierć z pod tajemnego sądu Świętéj Inkwizycyi.

Powierzchowne zaskarżenie, nie poparte dowodami, a rzucone nawet bez podpisu denuncyjanta, w gardziel lwa Wenecyi (istniejącego jako ruina do téj pory), było dostateczne, aby oskarżony dostał się w katowskie ręce oprawców trybunału, nie zdającego przed nikim rachunku z czynów swoich i nie znoszącego żadnéj nad sobą kontroli.

W głównéj sali tego tajemnego trybunału, wybitéj czarnem suknem, zasiadali sędziowie. Ich zimne, podobne do upiorów, nieugięte jak fatalizm postacie, okryte były od stóp do głowy ciemną opończą, i rzucały przez otwory w kapturach osłaniających im oblicza, spojrzenia krwiożercze na ofiarę ich fanatyzmu, jak zgłodniałe pantery czyhające na zdobycz.—Sala nie miała żadnego okna, promienie słońca nie dochodziły do niéj nigdy, żaden znak życia, bo nieubłagana śmierć założyła tam swoje legowisko. Dwie tylko zapalone świece stały na stole, rzucając mgłe światło; a w pośrodku nich leżała, wsparta na dwu piszczelach, trupia główka. Przez jamy, gdzie były oczy, fosforem błyszczało próchno. (*d. c. n.*)

O WYBORZE POKARMU
dla niemowląt i dzieci.

podał

Stanisław Wojciech Łukowski.

(Dalszy ciąg.)

Obok przytoczonych wyżéj przepisów, p ›trzeba zwracać także uwagę na sposób życia i dyjetetyczne zachowanie się noworodka. Jak przy naturalném, tak i sztuczném karmieniu niemowlęcia, nastręczają się pytania: w jakim czasie, jak często, ile, w połączeniu z jakiemi istotami i z jaką odmianą, powinno dziecię otrzymywać swój pokarm, np. mleko?

Na te pytania, odpowiedź jest bardzo prosta. Już w pierwsze 24 godzin po przyjściu na świat, gdy dziecię przebudzi się, należy je przyłożyć do piersi; powtarza się to co 3 lub 4 godziny, tém częsciej wogóle, im dziecię młodsze i słabsze. Przy cierpieniach przewodu jelitowego i rozstroju trawienia, nie daje się na raz jeden długo ssać. Lecz zwykle, pozwalają niemowlęciu ssać do nasycenia, t. j. do téj pory, dopóki samo nie przestanie, lub nie uśnie; w tym stanie pozostawiają je do przebudzenia i znów potém przykładają do piersi. Jeśli dziecię dojdzie już kilku miesięcy, należy dawać mu pierś w nieco większych odstępach czasu, lecz za to, wysysa ono za każdą razą znaczną ilość mleka. Toż samo należy powiedzieć i o sztuczném karmieniu noworodków, mlekiem krowiem lub innych zwierząt ze smoczka. Zdrowym dzieciom,

dobrego ciałoskładu, do 4—6 miesięcy wypada dawać wyłącznie samo mleko, jeśli tylko matka lub mamka posiadają je w odpowiednim gatunku i ilości, a niemowlę przytem dobrze się rozwija. Nie trzeba wówczas próbować karmienia innym pokarmem i napojami, i według możności unikać różnych zmian żywienia, co zwykle szkodzi dziecięciu. Przy zbyt obfitym pokarmie, zwłaszcza z najrozmaitszych istot, dają się zauważyć zazwyczaj nieprawidłowości trawienia, t. j. tworzenie kwasów w żołądku, niedostateczne trawienie, biegunka, wiatry, wymioty, kurcze i t. p. objawy; te zboczenia, mogą nawet wywołać daleko ważniejsze choroby, a przynajmniej powiększyć usposobienie do nich, np. do cierpienia gruczołów, skrofułów i t. d. Z drugiej strony, niedostateczna ilość pokarmu, naraża dziecię na większe cierpienia, co ma miejsce przy braku mleka, czy to matczynego, czy zwierzęcego; wymioty z towarzyszeniem biegunki, wychudnienie i wreszcie nawet zupełne wycieńczenie, są wtedy zwykłem następstwem. Z tego powodu, w ostatecznym razie należy dawać niemowlęciu, prócz mleka matki lub mamki, mleko krowie, do czego wcześniej niż zazwyczaj dołącza się krochmalne i klejowe istoty, np. sucharki, drobno potłuczony chleb biały, arrow-root, żółtka i t. p.

Jednocześnie z rozwojem zębów, następuje pora, kiedy dziecię potrzebuje innego pokarmu i teraz kiedy ono już może gryść, należy je odłączyć od piersi, zwykle po upływie pierwszego roku, a wogóle im później, tem lepiej [1]). Peryjod odstawienia od piersi, zwykle jest bardzo chorobliwy i niekiedy nawet niebezpieczny, szczególniej dla tego, że przypada w krytycznej porze wyrzynania się zębów. Należy więc przyjąć za prawidło, że *im słabszy i gorszy jest ciałoskład niemowlęcia i im wiecej ono usposobione do różnych chorób, tem później powinno nastąpić odłącznie go od piersi;* również, jeżeli zęby wyrzynają się dość późno, lub kiedy można podejrzywać dziecię o jakąkolwiek chorobę dziedziczną. Przy tych okolicznościach, potrzeba przeciągać karmienie wyłącznie samem mlekiem, nawet po pierwszem wyrznięciu się zębów, niekiedy do drugiego roku i dłużej. Wogóle, dla odstawienia niemowlęcia należy wybrać porę, gdy ono zupełnie jest zdrowe i przeważnie wiosnę lub lato, w czasie pogodnym, gdy można je wynosić na świeże powietrze. Jedynie obawa o zdrowie matki, może wymagać przyspieszenia w odjęciu dziecka od piersi. Lecz i wobec tego, niezbędną jest rzeczą, aby dziecię już poprzednio przywykło do innego pokarmu, np. do papki z sucharków, arrow-root, sago i t. d. Dla odzwyczajenia dziecięcia od piersi, nie przystawia się go do niej w nocy, a tylko za dnia kilka razy, po kilku zaś dniach nie daje się mu jej już wcale. Gdyby była możność, to dobrze jest naówczas zupełnie oddalić dziecię od matki.

Dziecię, które już odwykło od ssania piersi, należy karmić cztery lub pięć razy na dzień papką, przyrządzoną np. z sucharków arrow-root z mlekiem i t. p. starając się przytem unikać rażących zmian w wyborze pożywienia, rozmaitości takowego, oraz nieakuratności co do czasu karmienia. Za napój, można dawać dziecięciu ogrzane, lecz nie gotowane mleko krowie, czasami wodę, buljon, i tylko w ostatecznym razie, przy kolkach, biegunce i t. p. objawach, słaby odwar *anyżu gwiazdkowego* (Pimpinella illicomanisatum), *nasienia koprsze* (Anethum graveolens) i t. p. istot. Przy żywieniu dziecka, należy mieć zawsze na uwadze niezbędność zadośćuczynienia wszystkim jego potrzebom, udzielając mu delikatny, łatwostrawny i pożywny pokarm; istoty sztuczne, drażniące, np. kawa, nie powinny wcale wchodzić wskład dyjety dziecięcia; przytem trzeba uwzględnić i szczególne cechy dziecinnego ciałoskładu, a z drugiej strony, starać się aby go nie udelikatnić zanadto. Należy także pamiętać, że większa część dzieci słabych, otrzymujących zły pokarm, jak równie dzieci zbyt rozpieszczone i wychowane z nadzwyczajną ostrożnością, cierpią później daleko częściej i popadają w najniebezpieczniejsze choroby jak: dysenterja, skrofuły, suchoty, choroba angielska, konwulsje i padaszka. *(d. c. n.)*

[1]) W południowych krajach karmią dzieci zazwyczaj kilka lat; w Niemczech następców tronu i dzieci osób znakomitych pozostawiają u mamek nawet do 8 i 10 roku życia. U nas epoka odstawienia dzieci, następuje zwykle dość późno; jedni radzą to rozpocząć w 9—13 miesięcy po urodzeniu (T. Matecki, Poradnik dla młodych matek, Poznań, 1848, str. 183), drudzy, dopiero po dwóch latach (J. Śniadecki, O fizycznem wychowaniu dzieci, str. 110) wogóle wtedy, gdy dziecię będąc zdrowe i czerstwe, przyzwyczai się stopniowo, obok ssania, do straw innych, tak iż je z łatwością trawić i sobie przyswoić zdoła.

Korrespondencyja Opiekuna Domowego.

Moskwa 1-go Lipca.

Budynek mieszczący w sobie okazy działu pedagogicznego należy do najskromniejszych — winien jednak specyjalnie zająć naszą uwagę.

Siadłszy tedy na trzykołowem krześle i zapłaciwszy 15 kop. zostałem przewieziony w kilka minut do żądanego budynku przez młodzieńca w czerwonéj koszuli i czarnéj aksamitnéj tunice. Mała cząstka publiczności odwiedza to miejsce. Więcéj kobiet zwiedza oddział lekarski, aniżeli mężczyzn oddział pedagogiczny. Tam kobiéty tłumnie się cisnę, tu zaledwie kilka osób wchodzi. Napis „Szkoła“ pociąga nas ku sobie. Wejdźmy więc. Z prawéj strony mamy pokój przeznaczony na okazy dotyczące kształcenia młodzieży po za lekcyjami, w chwili od spoczynku lub zabawy. Są tu więc portrety znakomitych ludzi, obrazy treści naukowéj i artystycznéj, modele zwierząt, roślin, mapy na których gory oznaczone wypukłościami, globusy, modele figur geometrycznych i t. p. Portrety znakomitych ludzi mogą obudzać w podrastającym dziecku pragnienie osiągnięcia sławy przez naukę. Obrazy i modele naukowe mają na celu pobudzać wyobraźnię i zarazem służyć za środek, za pomocą którego można przyzwyczajać dzieci do zastanawiania się nad otaczającemi przedmiotami. W globusach i mapach wreszcie starano się zebrać wszelkie ułatwienia nauki dążące do jaknajprzystępniejszego objaśnienia prawd geograficznych. W sąsiednim pokoju znajdują się najprostsze przyrządy fizyczne i chemiczne potrzebne dla wyjaśnienia niektórych zjawisk Widzimy już z tego powyższego że metoda Froebla jest tutaj przeważnie reprezentowaną. W tem przekonaniu jeszcze się bardziéj utwierdzamy przeglądając gry i zabawy dla dzieci i ich rozliczne zajęcia. W zajęciach tych jedno z ważnych miejsc stanowią dziecinne warsztaty odznaczające się nadzwyczajną prostotą i lekkością poznania. Pominiemy tu już przyrządy gimnastyczne, fechtowalnią, wreszcie plany i modele szkół, a zatrzymamy się nad kwesyją najbardziéj dotyczącą zdrowia uczniów t. j. nad kwestyją ławek. Rodzaje ławek możnaby podzielić na dwa systemy: jeden daje uczniowi całkowitą swobodę ruchów — stolik bowiem na którym się pisze jest ruchomy w dwóch kierunkach, może być podniesiony lub zniżony, przytem wysunięty naprzód i w tył. Drugi system Farnera polega na tem, że deska na której się pisze jest składaną w połowie. Uczeń nie może usiąść nie podniosłszy jéj do góry, a po opuszczeniu jéj tamują się ruchy całem ciałem, pozostawiając tylko swobodę piersi i rąk. W ogóle ławki urządzone są tak aby deska na któréj się uczeń opiera nie cisnęła na piersi lecz cokolwiek niżéj.

Musimy także zwrócić uwagę na na system ławek Dra. Erismana. Jest to zwyczajna nieruchoma ławka ze stałem siedzeniem. Podnosi się tylko deska, na której się pisze. System tych ławek ma tę przewagę nad innemi, iż Dr. Erisman robił próby na 4300 uczniach i obserwował w jaki sposób najdogodniej usunąć szkodliwy wpływ na zdrowie. Tym sposobem, przyszedł na zasadzie takiej obserwacyi do wymiarów dających się zastosować do różnych wzrostów uczących się dzieci. Otóż te ściśle wymiary części składających ławkę, są cechą systemu Dra. Erismana. Niezależnie od powyższych systemów, ławki pod względem formy możnaby rozdzielić na 3 systemy. Zasadniczą różnicą tych 3-ch systemów jest linija łącząca brzeg deski, na której uczeń pisze, z brzegiem deski, na której siedzi. Linija ta może być ukośna w prawo, ukośną w lewą i nakoniec zupełnie pionową. Zdaniem naszem najlepszy system jest gdy linija ta jest pionową a zdanie to możemy poprzeć próbami robionemi na tych 3-ch ławkach, znajdujących się na wystawie. Uczeń nie potrzebuje bowiem ani zbytecznie pochylać się naprzód, ani też zanadto w tył opierać.

Mówiąc o meblach szkolnych, musimy wspomnieć i o tablicach. Znajoma jest wszystkim, nadzwyczajna niedogodność naszych tablic na stalugach, które uczniowie zwykle tak ustawiają, iż te spadają na nogi nauczycielom. Z różnych rodzajów tablic, znajdujących się na wystawie, uznaliśmy za najlepszy następujący: dwa słupy pionowe, połączone z sobą u dołu, umocowują się na 2-ch podstawach. Tablica między nimi wisi pionowo i obraca się na osi poziomej z największą lekkością. Mały kołeczek przytrzymuje tablicę raz ustawioną. Tym sposobem tablica posiada wszelkie dogodności i budowa jej jest nadzwyczaj prosta. Zwiedzając daléj oddział pedagogiczny wystawy, przejdźmy na galeryją budynku, w którego dolnej części mieszczą się maszyny i rękodzielnie. W galeryi tej mieszczą się pomoce naukowe w każdej gałęzi. Jest tu więc jeografia wraz z mapami, globami, przewodnikami, geometrya z modelami figur, zoologija, botanika, mineralogija z odpowiedniemi modelami z massy lub drzewa. Ze względu jednak że przewodnik i dzieła pedagogiczne mają większe znaczenie dla Cesarstwa, pominiemy dalszy przegląd, zrobiwszy tę tylko wzmiankę, że w galeryi téj są reprezentowane i inne narody, między któremi pierwszeństwo trzymają Niemcy. *M. P.*

LISTY Z KRAKOWA.

Kraków, dnia 12 Lipca.

Spokojny, poważny Kraków nagle ocknął się jakby z długiego uśpienia, a przez parę tygodni ruch i ożywienie panowały do nieuwierzenia... Widziałeś twarze zakłopotane, jakieś figury biegające z ulicy w ulicę, napastujące przechodniów, gruppy i grupki na plantacyjach, w rynku, na trotuarach, tłok w cukierniach, traktyjerniach, u Fuchsa i Wencla, zbiorowiska w strzelnicy i prywatnych domach, tłumy zalegające salę radną w magistracie, do późnéj nocy gwar w Postępie (klub mieszczański), wszystkie rogi ulic pozalepiane plakatami....

Ten ruch niezwykły spowodowany został przypadającemi na 1, 3 i 5 lipca wyborami aż 30 nowych radców miejskich, czyli jak tu nazywają *ojców* starego grodu...

A rzecz to nielada, mając na względzie, że w roku bieżącym ma się uskutecznić pożyczka półtora miljonowa, która ma nas dźwi-

gnąć z uśpienia handlowo-przemysłowego, polepszyć stan ubogiej klassy rzemieślniczéj, zaradzić brakowi mieszkań i t. d. Wszystko to zależeć będzie od kierownictwa rady miejskiéj i magistratu. Cóż więc dziwnego, że znalazło się tylu kandydatów. Niejeden budowniczy, mularz, cieśla, stolarz, niejeden spekulant giełdowy i t. d. powziął szlachetną myśl przysłużenia się miastu swoją pracą i zdolnością, musi więc znaleść robotę za miejskie pieniądze, żeby zaś ją dostać—potrzeba ażeby został radcą, albo przynajmniéj ażeby byli wybrani tacy, którzyby go poparli. Kto tylko miał w projekcie interes do zrobienia, kto tylko zamierzał w ten lub inny sposób zapuścić łapkę do tego półtora-milijonowego worka—jeżeli już sam nie miał nadziei zostania Radcą, popychał do Rady ludzi, na których mógł liczyć.

Potworzyły się więc koła i kółka, które codzień tłumnie zbierały się i debatowały nad ułożeniem listy kandydatów. Były tam mowy i przymówki, były objawy najserdeczniejszéj miłości, najzawziętszych zazdrości i nienawiści. Plakaty, z małą odezwą do rodaków, a z wymienieniem najzacniejszych kandydatów, podawanych przez te lub owe koło lub kółko—zmieniały się codzień i w końcu znalazło się kandydatów niemal o dziesięć razy więcéj, niż było potrzeba, a kiedy przyszło do zrealizowania tylu jawnych i pokątnych zabiegów, kiedy przyszło do wyborów, wszystko się rozbiło, rozstrzeliło i znaleźli się w liczbie nowo wybranych radców tacy, o których nikomu się niesniło nawet, a których imiona zgoła nie były zalecane ani na zgromadzeniach walnych przedwyborczych, ani też na plakatach.

Żydzi inaczéj sobie poradzili. Ułożyli listę zawczasu, rozpowszechnili ją między gromadą, a ta stanęła jak mur i dziś żydzi górować będą w Radzie miejskiéj. Żydzi, którzy nie mieli popularności między swoimi, jak np. niejaki bogaty Dajches, zawczasu wszystko obmyśleli i wszystkiemu zaradzili. Taki Dajches, ażeby być pewnym siebie, jak twierdzą, wyłożył przeszło 3,000 guldenów, po prostu kupując głosy.

Ostatnie wybory odbyły się d. 5-go, a przypadały właśnie na koło tak zwanéj intelligencyi. Widząc rozbicie się poprzednich kół, widząc przewagę żydów, intelligencyja postanowiła dać dowód solidarności. I rzeczywiście wybrani zostali bez wyjątku ci, którzy poprzednio podani byli jako kandydaci przez komitet przedwyborczy. Solidarność była tak wielka, że z 494 głosujących 11 wybranych radców miało od 312 do 433 głosów. W liczbie wybranych znajdują się: Dr. Dietl, dzisiejszy prezes miasta, członek izby panów; znany poseł Dr. Zyblikiewicz; poseł Leon Chrzanowski; profesorowie uniwersytetu: Dr. Stefan Kuczyński, Dr. Alfred Biesiadecki; Wład. Rozwadowski, kanonik Górnicki i t. d.

Od ostatniego listu naszego ponieśliśmy dwie dotkliwe straty: d. 3 lipca umarł Doktór Henryk *Suchecki*, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, znany lingwista słowiański, autor „*Budowy języka polskiego pojaśnionéj wykładem historycznym porównawczym w zakresie indo-europejskim i w okręgu słowiańszczyzny*", „*Zwięzłéj nauki języka polskiego*" i wielu innych prac lingwistycznych. Od r. 1857 do 1865 był on profesorem języka i literatury polskiéj na uniwersytecie w Pradze. Umarł w 61 roku życia.

Dnia zaś 4-go lipca umarł w Jaworze na Szląsku Józef *Narzymski*, jeden z najznakomitszych spółczesnych pisarzy dramatycznych, autor „Epidemii", „Pana prezydenta miasta w kłopotach", „Pozytywnych" i wielu innych. Zwłoki jego przywieziono koleją do Krakowa, gdzie 7-go lipca odbył się pogrzeb.

Komisyja krakowska wystawy wiedeńskiéj powzięła piękną myśl urządzenia w Krakowie wystawy sztuk pięknych i starożytności. Komisyje lwowska i brodzka również chętnie zgodziły się na ten projekt. Będziemy więc mieć świetną wystawę zabytków przeszłości, arcydzieł sztuki, zgromadzonych z całej Galicyi. Ważniejsze i godniejsze uwagi z tych przedmiotów, za zgodą właścicieli, będą przesłane na wystawę do Wiednia. W komisyi urządzającéj wystawą krakowską, pod prezydencyją Marcellego księcia Czartoryskiego, prezesa tow. sztuk pięknych, zasiadają—Pol, Łepkowski, Matejko, Kossak, Zaleski, Rudzki, Łuszczkiewicz. Oprócz muzeum archeologicznego towarzystwa naukowego i gabinetu archeologicznego uniwersytetu Jagiellońskiego, sam Kraków dostarczy jeszcze wiele znakomitych zabytków i arcydzieł sztuki. Prawdziwą ozdobą wystawy krakowskiéj, a następnie wiedeńskiéj, będą zabytki do dziś dnia przechowujące się w Podhorcach z wyprawy Wiedeńskiéj Jana III.

Gabinet archeologiczny przy uniwersytecie Jagiellońskim otrzymał w tych dniach z Warszawy drogocenny zbiór monet dawnych w liczbie kilkuset, najwięcéj litewskich. Na szczególną zasługują uwagę monety z czasów Gedyminowskich, z kolumnami, herbem panującéj rodziny na Litwie familii Gedymina i kwiatkiem tripholium, uważanym przez niektórych za siekierę z krzyżykiem. Kilkadziesiąt takich monet znaleziono w Wace pod Wilnem, w r. 1852. Stanowią one najrzadszy zabytek w litewskiéj numizmatyce. Są tam nadto monety z czasów Jagiełły, Aleksandra i t. d. Dar to znakomity, bo są i także monety za które znawcy chętnieby po 100 i więcéj rubli płacili.

Wspominałem już w poprzednich listach jak wielka nędza panuje w Krakowie. Oto jeszcze jeden fakt: w gruzach zburzonego domu za rogatką na ulicy Długiéj, a raczéj w piwnicy na pół rozwalonéj znalazł wachmistrz żandarmeryi Kudziński wynędzniałą z głodu i choroby rodzinę: czeladnika szewckiego Ludwika Kysia z żoną i trojgiem dzieci drobnych. Nie mogąc czynszu zapłacić, za nędzne mieszkanie, które wynajmywali, szukali w téj ruderze opustoszałéj schronienia. Wynędzniałe z głodu, na pół nagie dzieci i matka niedawno ze szpitala wyszła, wołają chleba— oto obraz jaki się przedstawił wachmistrzowi, a takich obrazów nie trudno znaleść w Krakowie. Rzadko które miasto ma tyle szpitalów i zakładów dobroczynnych, ale te wszystkie przepełnione i coraz bardziéj daje się czuć brak miejsc w tych zakładach. Dotąd wszakże nie mieliśmy *szpitala dla dzieci*. Poruszył tę kwestyję zacny Dr. M. L. Jakubowski i podług jego myśli zawiązało się towarzystwo przeważnie z dam złożone, a mające na czele Marcelinę z Radziwiłłów księżnę Czartoryską. Zaczęto już zbierać składki i nie wątpimy, że wkrótce będziemy mieć szpital dla dzieci. Znajdą w nim miejsce i podrzutki, których liczbą coraz się wzmaga, w szpitalu zaś głównym S. Łazarza zaledwo jest dla nich 14 łóżek.

Podług zdania D-ra Warszaura, radcy miejskiego, ostatnia wojna rasowa sprawiła wywiązanie się zaraźliwéj ospy, jednéj z chorób, po pomorze, najniebezpieczniejszéj. W okolicach Krakowa ospa zaczęła grasować jeszcze w roku przeszłym; od marca zaś coraz silniéj rozwija się w samym mieście i liczba ofiar zwiększa się znacznie. Na wniosek przeto D-ra Warszauera zawiązała się przy Radzie miejskiéj komisyja sanitarna, która ma bezzwłocznie urządzić osobny szpital dla chorych na ospę, a Rada miejska na ten cel assygnowała tymczasowo 2 tysiące zł. reńskich.

Nie poszczęściło się jakoś uniwersytetowi Jagiellońskiemu. Rektorem uniwersytetu na r. 187²/₃ wybrany został urzędnik austryjacki, Dr. Edward Fierich, profesor wydziału prawniczego, prezes oddziału sądowego, komisyi egzaminów rządowych i członek oddziału administracyjnego. Nie bardzo tu radzi z tego wyboru. Dla czegóż wybrali—zapytacie? Trudno na to odpowiedzieć! Większość życzyła sobie prof. D-ra Dunajewskiego, który już był kilka razy rektorem i dał dowody energii i sprężystości w zarządzie— ale głosy jakoś pokrzyżowały się, i wypadł najniespodzianiéj pan Fierich. Szczęśliwiéj się stało we Lwowie: tam wybrany znakomity Dr. Antoni Małecki. Wszakże jeżeli chodzi o solidarność, o silną wolę w przeprowadzeniu jakiego projektu, o postawienie interesu ogółu po nad wszystkie drobnostki koteryjne Lwów od Krakowa nie lepszy. Mieliśmy tego świeży dowód w uniwersytecie. Wydział prawniczy wszechnicy lwowskiéj wybierał dziekana. Głosowało dziewięciu profesorów—z tych 5 Polaków, 1 Rusin i 3 Niemców—i cóż?—Wybrali Niemca!

Nowy, kolosalnych rozmiarów, obraz Matejki, wyobrażający „Stefana Batorego wobozie" już ukończony i jest na wystawie we Lwowie. Obraz ten został zakupiony przez hr. Działyńską za 50 tysięcy zł. reńskich.

G. U.

Odpowiedzi od Redakcyi.

— *Księdzu Fel. Kam. w Dąbrowie.* Roczna prenumerata wynosi rs. 4 kop. 80. Zatem należy się nam jeszcze rs. 1 kop. 80. Komplet wysłaliśmy— za opóźnienie, które mimo naszéj woli miało miejsce uprzejmie przepraszamy.

— *Panu Kaź. Oss. w Beszyniu.* Należy się nam jeszcze kop. 20 za 3-ci kwartał. Możesz Pan takowe nadesłać przy odnawianiu prenumeraty.

— *Panu A. Niep.* Prenumerata półroczna wynosi rs. 2 kop. 40, zatem należy nam się jeszcze 40 kop.

— *Panu Juljanowi D. w Tarnowe.* Kompleta Opiekuna z I-go kwartału r. b. wysyłamy pocztą dzisiejszą.

Sprostowanie.

W N-rze 29-m Op. Dom. w artykule wstępnym „Głowa i serce" na stronicy 2-éj w szpalcie 2-éj, w wierszu 21 zamiast uczenie właśnie jest niczem innem — powinno być *uczucie właśnie jest niczem innem* i t. d.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawca, WACŁAW SZANIAWSKI. **Redaktor,** HENRYK PERZYŃSKI.

☞ Patrz Dodatek.